

SZCZUTEK

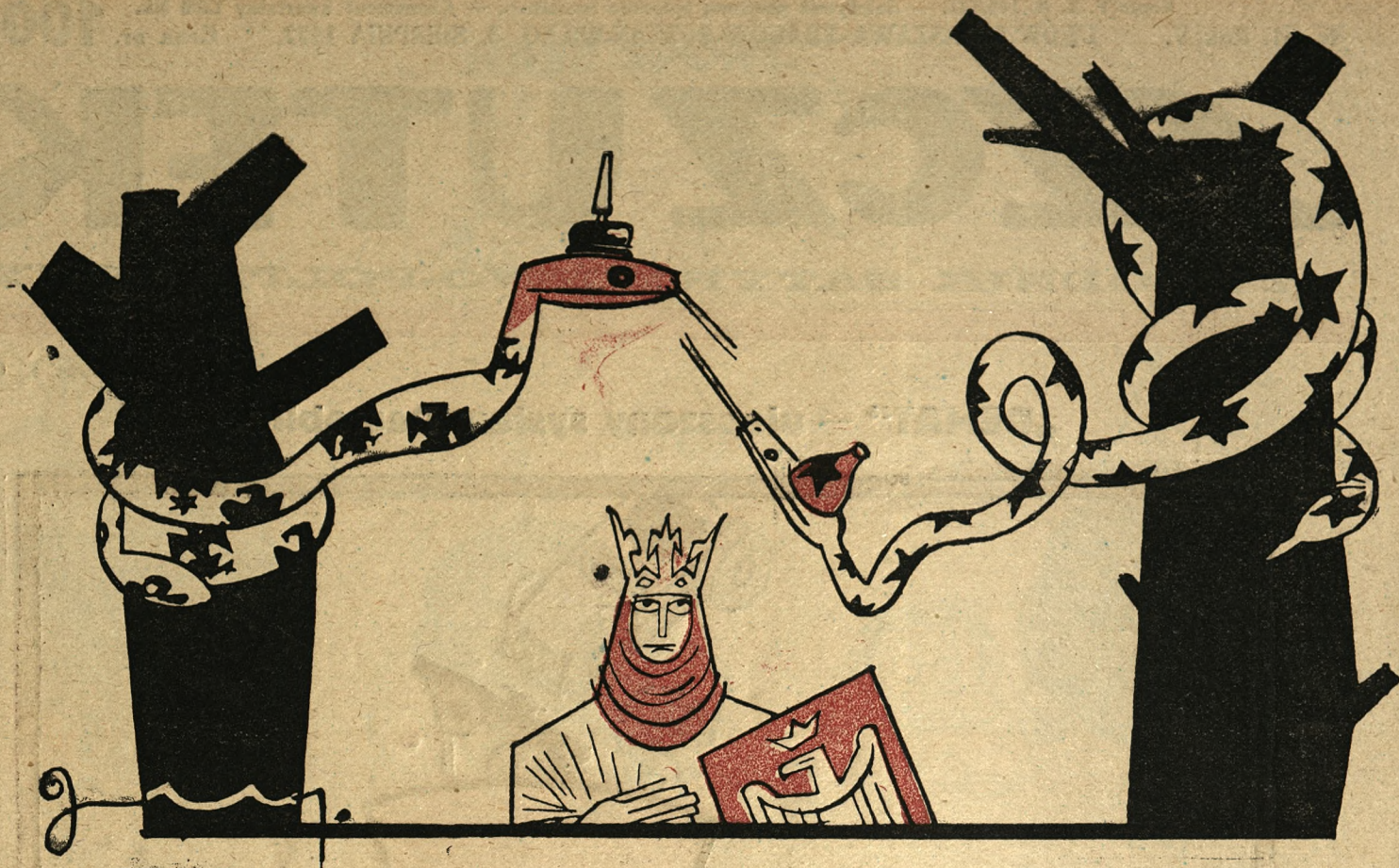
TYGODNIK SATYRYCZNO-POLITYCZNY

Rys. K. Grus

„DEMAT” — ulepszony system Demobilu.



Idealny aparat do zmniejszania dochodów skarbowych.



Dumania człowieka w Polsce pocziwego.

Polsko! któż zdoła nawet w poemacie
Ten blask odtworzyć, co w Twych oczach lśni?
O jakżeś piękna w swojej białej szacie,
Dzierżganej gęsto rubinami krwi,
Krwii, która droższa od wszelkich szkaplerzy,
Bowiem spłynęła z ran twoich rycerzy.

Nad Twoją głową przystrojona w djadem
Syczą, paszczami wiecznie węże dwa:
Gad bolszewicki z wszechniemieckim gadem,
A każdy jedną tylko żądzę ma,
Aby wszczepiwszy jad w twe cudne łono
Widzieć cię biedną, małą i zniszczoną.

Gdzież twych obrońców bohaterskie plemię,
Co na skinienie twoje biegło w bój?
Jedni oddawna gryzą czarną ziemię,
W sercach ich lęgnie się robaków rój,
Drugim kazano złożyć miecz na tarczy,
Co w skarbie grosza na żołąd nie wystarczy.

Lecz za to mamy ich dość dla warchotów,
Którzy o władzę w Polskę toczą targ,
Bo całą duszą tkwią w zgniliźnie dołów
I tylko ślinę chowają wśród warg,
A taką w sercach ukryli zawziętość,
Ża są gotowi opluć każdą świętość.

Więc czyż ze wstydu ci nie bledną lica,
Że po wolności krótkich latach trzech,
Znów się powtarza nasza Targowica,
Znów się powtarza staropolski grzech,
Że znów powstały te ambicje dumne,
Co niegdyś ćwieki ci wbijały w trumnę?

Bo znowu pasja duszycki poniosła,
Jak tabun koni, które spłoszył grom,
I zamiast posła znów widzimy ośła,
Który kopytem kopie własny dom,
Zapominając, że gdy zwali ścianę
Osły najpierwsze będą pogrzebane.

Więc, gdy wiązanie już się ledwie trzyma,
Gdy każda belka chwieje się i sklep,
Patrząc na Polskę trzeźwemi oczyma
Potrafi chyba matolek lub kiep,
Więc każdy dzisiaj wódkę w siebie leje,
Bo nie chce patrzeć, co się u nas dzieje.

A gdy już umysł i serce zamroczy,
Zabiwszy w sobie lepszą duszy część,
Tak klnie paskudnie i tak strasznie psioczy
I tak zaciska w złości swoją pięść,
Że gdyby nagle tak znalazł się w sejmie,
Waliliby w gęby całkiem nieuprzejmie.

Henryk Zbierzchowski.

Świat i miłość.

(Fantazja polityczna).

(Rzecz dzieje się w przyszłości. Za czasów Unii wszechświatowej).

— Kości rzucone! — rzekł Bobb i zdecydował się kandydować do parlamentu.

W chwili gdy Zjednoczenie Wszystkich Banków sfinansowało mu i szczególnie przeprowadziło trudny problem wydobywania złota, znajdującego się tonami w falach mórz, w chwili gdy inżynierowie-agrykultury z polecenia Bobba zaprowadzili w całym świecie, gdzie tylko na to słońce i woda pozwalały — racjonalną, równomierną uprawę roślin tak, że odtąd miał głód i niedostatek jadalną zginąć bez śladu, jednym słowem w chwili triumfu finansowego Bobb zdecydował się rzucić się całą siłą młodego, bujnego organizmu do polityki.

Czuł, że energia, pieniądze i przewidywany rozum jego świeżej, wybuchowej natury, zdobędzie mu pierwszeństwo.

— Mając ster polityki w ręku połączę wszystkie decydujące punkty globu liniami aeroplanowymi — planetę naszą pokryję siecią radjofonu, komunikację oddam sobie w monopol, wiesz Kathleen, sobie! — powtórzył, podrzucając dumnie kosmyki płowych, twardych włosów, burzących się w złociste bezerety.

A Kathleen patrzyła na stalowoszare oczy Bobba, na jego włosów potok, patrzyła z uwielbieniem, z pokorą — niby młoda kapłanka w posąg młodego boga słońca, słuchała jego urywanego, niskiego głosu — i nie nie słyszała, co mówi ubóstwiany Bobb...

Wyrzuciła papierosa i wyciągnęła białą szyję ku Bobbowi, wysunęła ust purpurę — Bobb nagle schwycił zegarek... Wiedziała już, co to znaczy i trwożliwie przyłożyła zaplecione ręce ku twarzy. Znowu jakaś przekłeta konferencja...

— Bobb, ludzie ciebie nienawidzą. Widziałam na ścianach domów rzucone reflektorem obrzydłe karykatury twoje...

— Kathleen, nie ludzie mnie nienawidzą, tylko partje. Ani jeden człowiek mnie nie zwalcza. Zwalczają mnie tylko centryfugiści i passeiści.

— Brzydkie obce słowa...

— I brzydkie partje.

— Bardzo brzydkie, bo nie lubią Bobba... nie ładne, gdyż Bobba lubić może tylko Kathleen...

— Rzucił się ktoś na ciebie, jesteś nieznośny.

— Złamałem mu szczękę i dałem mu potem dwa razy tyle pieniędzy, ile dostał od kontrkandydata mego!

— Jesteś cudowny, Bobbie...

— Po co to wszystko?

— Chcę świat podbić! Chcę być panem wszech ludzi — przez dobro. Wiesz co będzie, gdy władzę będę miał, nie tylko pieniądze? Wiesz co ludzi czyni nieszczęśliwymi? Choroby — te obrzydłe, nagminne, moczarsze choroby, które krew wypijają, kości kruszą, nerwy zżerają, dziedziczne trucizny, zarazy — wywozuję wszystkich zapowietrzonych na Wyspy Szczęśliwe, niech tam opływając we wszystko wymrą — a z nimi zarazki, raz na zawsze.

— A wiesz co czyni społeczeństwo zawistne? Różnice w obcowaniu z sobą. Dam wszystkich ludzi, jeno niech władzę uchwycę w swe dłonie, do takich szkół, do takich kolegów, gdzie każdy nauczy się porównie miłym i ponętnym być dla bliźniego...

mówił, trzęsąc dumnie swą twardą grzywą, a Kathleen słuchała ekstazy swego młodego boga i — nie nie słyszała z słów jego.

Rozmowy stawały się coraz krótsze. Bobb uwijał się w ogniu walki politycznej i do Kathleen zachodził coraz rzadziej. Założył właśnie nowy dziennik. Nie było zakątka, gdzieby nie dzwignęła się antena dla iskrówek osobnych korespondentów, rury pneumatyczne rozrzuciły „Świat“ choćby popod Ocean. Nawet ludzie obojętni dla gazet, chwyтали chętnie za „Świat“, który kilkakrotnie razy dziennie przynosił ciekawe inseraty, zestawione przez specjalnie założony trust reklamowy „Poldo-Klap“, nazwany podobno tak od imienia już legendarnego wówczas propagandysty handlu i przemysłu w dawnych czasach, gdy jeszcze kinematografy i ażurowe pończochy były w modzie.

Punkt kulminacyjny burzy. Dzień wyborów!

Na gmachu parlamentu zajaśniały dwa nazwiska: Bobba i jego kontrkandydata. Tysiące, tysiące czekały i w grobowym milczeniu oczekiwania patrzyły na te jasne smugi. Nagle pod nazwiskiem Bobba wystrzeliło oślepiające oko światła. To jeden dy-

strykt oświadczył się za Bobbem. Gwar potężny runął w niebo, towarzysząc temu startowi politycznemu. Lecz w minutę takie same światło wystrzeliło po przeciwnej stronie — następny dystrykt przechylił się na stronę kontrkandydata. Głos mas wzmógł się, rozszalał się, przerażony na chwilę nowym blaskiem. To drugi dystrykt głosował za Bobbem. Potem entuzjazm zaczął opadać. Coraz to nowe światła wytryskały na tablicy Bobba, rosły, wzmagaly się, potęgniały. Czasem i kontrkandydatowi coś zaświeciło się. Zwycięstwo młodego entuzjasty było pewne. Pewne rzeczy są nudne. Ktoś słusznie zauważył, że tłum zaczyna rozchodzić się do domów. Wtem coś znowu rozkołysało zebranych. W odstępach paru sekund poczęły rozświecać się jasne plamy po stronie wrogów Bobba.

Kapryśny motłoch poczał witać tę gonitwę oklaskami, wiwatami...

— Morowo dopędza go.

Nie uważano, że od czasu do czasu i Bobbowi zabłysła nowa lampka. Potem nawet kilka rzędem.

Przeciwnicy doganiali...

Bobb stał w oknie klubu, leniwie powiódł okiem swych 86 lampek, kierując swą całą uwagę na tablicę nieprzyjacielską.

— 83... 84... 85... liczył ...86... na równi...

Tłum wyl.

Jeszcze jedną lampka miała się zaświecić, lampka, która decydowała o zwycięstwie. Finish.

Bobb stał spokojny. To dystrykt 141 jego rodzinny. W świecie ukochanym, świat najbliższy; dobrze znany. Rozpostarła swe światło rozstrzygająca lampka.

Zwycięski snop światła padł na tablicę — wrogów. — Tysiące witały zwycięzcę, hołd mu składały.

A Bobb stał jak posąg bez życia, bez krwi, bez oddechu.

A w drugim oknie Kathleen płakała z radości.

— Teraz mi go nikt nie wydrze, on będzie tylko dla mnie.

Płakała z radości.

Bo miłością mężczyzny jest świat, a światem dla kobiety — miłość. *pi.*



Sotnyk Hryčko. Korowajnyk do Mizzi.

Wien, den 23 Juli.

Liebste Mizzi! Ja tebe duze perepraszaju, szo nächsten Sonntag ne pidemo na Kahlenberg, ale każe ja distaw polski marki, ty znajesz, szo to lepsze jak te K. austrijski — wid ksiendza Lutosławskoho, vom Pater Ende, ich fahre nach Warschau, uczyty warszawských endekiw jak kidyat jajcia. Jak my wylupały jajciamy Skirmunta, tak ony teper Eierpunsch werden servieren den Piłsudczykien.

Ciľuju tebe, mein Herzblättchen, a ne chody z tym kaprawym żydiugiem — und denke oft an mich — i moje herojskie jajcia.

Auf ewig dein Hryciu Hptm.

Robinfather.

Miedzy pannami.

— Brrr!... Twój Alfred nosi brode i nie chce zgolic jej...

— Ale ma pieniędzy w bród, a twój Karol jest goły!

Robinfather.

Na Bożym Sądzie.

Tak. Na Bożym Sądzie to było.

Przed tronem Najwyższego stanęła kobieta, wiedźma prawdziwa. Oczy połyskiwały jej krwawo, z palców wyrastały jej krogulcze pazury, brzuch miała wysadzony, brzemienny, włosy rozwiane jak u Furji, a na twarzy jej płatał się bestjałski uśmiech Pandory.

— Jak się nazywasz? — spytał jej Najwyższy Sędzia.

— Przesilenie.

— Wiek?

— Dwa miesiące.

— Kto jest twój ojciec?

Na to pytanie wiedźma, dotychczas harda i bezwstydną, zasłoniła twarz i zalała się łzami.

St. Br.

To tak.

— Dlaczego w gabinecie Korfante ministerstwo pracy jest nieobsadzone?

— Widać, że ten gabinet do pracy nie przykłada zbytnej wagi.

Praca w Sejmie.

— Powiedz mi w jakim porządku odbywają się posiedzenia sejmowe?

— Z początku słyzy się tylko delikatne sprzeciwy, ironiczne uwagi, złośliwe docinki, ale to trwa krótko, gdyż zazwyczaj po kwadransie zaczynają się zdecydowane wymyślania, złorzeczenia, przekleństwa i robi się wkrótce awantura pierwszej klasy.

Później nastaje kilkunastuminutowa przerwa, podczas której posłowie kłócą się w bufecie, na schodach, w kurytarzach i innych ubikacjach.

Po przerwie następuje już niczem nie zamącona chryja, trwająca bez żadnych przeszkód aż do końca posiedzenia.

A. B.



Niemiec: Schląg Donneweter! Prócz maszyn i poduszek nic nie pozwoliliście nam zabrać.

Nasz tłum.

— Kumie, jak temu Korfantemu na przeżwisko?

— Jakżeto? Korfanty!

— To krzesne, jak Wincanty — Witos albo Walanty — Migdał, ale jak na przeżwisko?

*

— A to skaranie Boskie z tą lewicą, święte słowa ks. proboszczu! Ale pewnikiem Piłsudski da im boba! Niech żyje prawica i nasz Piłsudski!

Robinfather.

Myśli polityczne.

Endecy rzucili hasło: „Piłsudski poplecchnik Niemców — niedawno trimali go w Magdeburgu...”

Zdaje się, żeby być wolnym od podejrzeń o konszachty z zaborcami trzeba być b. ekscelencją austriackim albo b. kamerjunkerem carskim...

*

„Józio strajkujel“

Takie bonmot rzucili endecy. I nie znaleźli — łamistrajka.

*

„Człowiek wschodni!...“

Usłyszał to mistrz Paderewski — i wyjechał do Kalifornji, żeby nikt nie mógł być bardziej zachodniejszy od niego.

*

Endecy są wrogami „bolszewickiej“ ustawy o — ochronie lokotorów. Chcieli zacząć jej znoszenie od — Belwederu.

*

Wilhelm II. po upadku Pt. Artura nadał order i gen. Nogiemu i adm. Stösslowi. W czasie przesilenia order dostał Korfanty. Gen. Nogi sam nie mógł sobie już nadać orderu. pi.



Dodatek „SZCZUTKA“

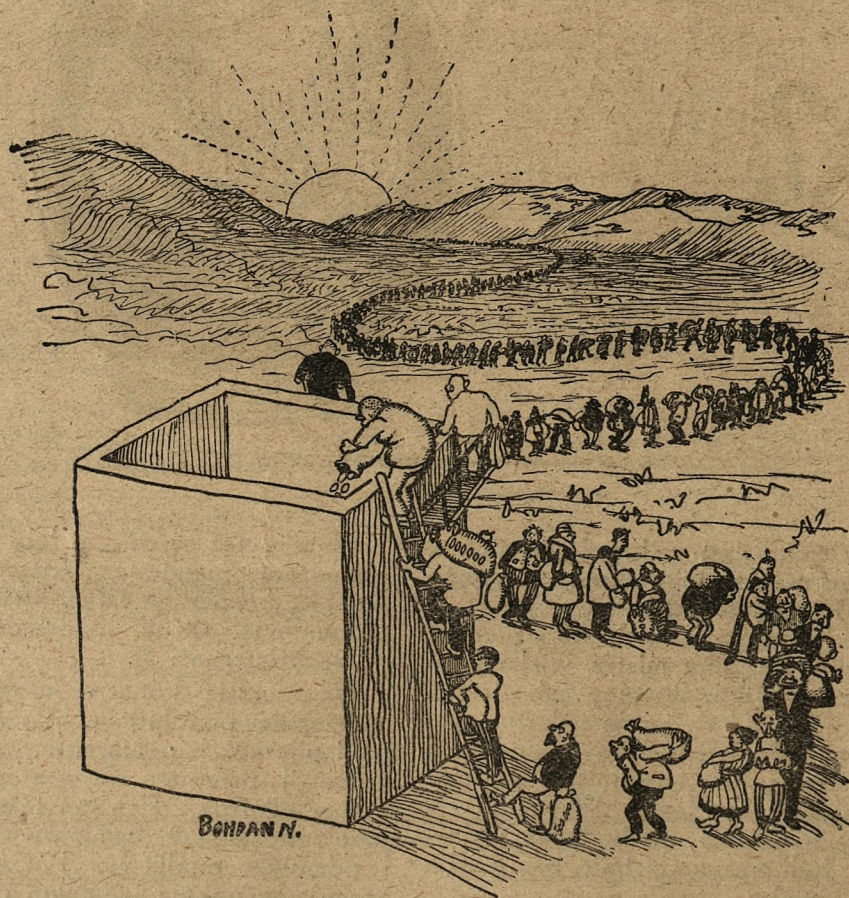
CENY OGŁOSZEŃ: Cała str. Mp. 60.000 — pół str. 30.000 — 1/4 str. 15.000 — 1/8 str. 7.500 — 1/16 str. 3.750

TARGI WSCHODNIE



Wystawcy i przemysłowcy polscy chcący skutecznej propagandy na Targach Wschodnich zwracają się do Agencji Reklamy

„PODOBÓJ“ we Lwowie
Zielna 34.



Jak sobie mały Józio wyobraża wpłatę daniny przez patryjotycznych obywateli.

W porządnym domu.

W domu, o którym mowa, wiele jest sprzętów drogocennych i kosztownych, wiele jest przedmiotów przeróżnych, nad którymi czuwa zdwojona ostrożność, aby się nie stłukły, aby nie wypłowały, aby nie upadły, aby ich nikt przypadkiem nie dotykał lub nie używał.

W pokoju jadalnym stoją srebra, przy pomocy których nikt nie jadał; w sypialni błyszczy się wspaniała umywalnia, na której nikt jeszcze się nie mył; w salonie, nieopalanym przez zimę, stoi garnitur mebli aksamitnych, wieczniewiecznie pokrytych pokrowcami —

stoją stare zegary kurantowe, których nikomu nie wolno pociągnąć za sznurek. Z ozdobnych półeczek uśmiechają się przeróżne figurki, których nikt nie ogląda — wiszą stare malowidła, przewerniksowane przed kurzem. W gabinecie pana domu stoi biurko, przy którym nikt nie pracuje — leży papier różowy, na którym nikt nie pisze listów miłosnych, stoi dzwonek, którym nikt nie dzwoni. Na ścianie zawieszono pistolety, z których nikt nie strzela, i srebrną laskę, z którą nikt nie chodzi na spacer. — W szafach spoczywa wiele sukien i ubrań, których używa się tylko w wypadkach tak nadzwyczajnych, jak

ślub, koncert, pogrzeb albo obiad proszony.

W domu tym mieszka dwóch odźwiernych i konserwatorów własnego skąpstwa, które nie posiada nawet interesujących cech jakiejś dziwacznej ideologii w stylu nieśmiertelnego Gobsecka, — mieszka tu jedna pani i jeden pan. Pan jest człowiekiem starym, zmęczonym, cierpiącym na zwężenie przelyku i podagrę. Pani ma około lat czterdziestu, jest, jak to mówią, kobietą w balzacowskim wieku. Pani wyszła za pana z rozsądku, bo pan ten był już od dawna starym, niedołężnym panem. W sytuacjach podobnych każda pani, zwłaszcza w balzacowskim wieku, uprawia jeszcze masaż twarzy i posiada kochanka albo dwóch kochanków. Jest to zjawisko zupełnie proste i naturalne — możnaby nawet powiedzieć, że jest rzeczą wistocie niemoralną, jeśli młoda żona starego męża nie dąży do trójkąta małżeńskiego. A jednak dzieją się rzeczy dziwne na tym naszym świecie — i oto pani, o której mowa, niema kochanka, jakkolwiek ma czarne, lśniące oczy, jeszcze świeże usta, zawsze modny kapelusz, poprawną figurę, oraz pasję do młodych i szykowanych chłopców. Nie należy jej tego wcale poczytywać ani za wadę ani za zaletę. Tak się „złożyły okoliczności życiowe“ — nic więcej i nic mniej. Niektórym ludziom życie daje rozkosze kradzione czy też prawnie w kościele poślubione — niektórym nawet nie ukraść nie pozwala.

Wśród tych wielu sprzętów, stojących bez użytku, pani owa jest także sprzętem bezużytecznym. Nikt nie rozplata jej czarnych włosów drżącymi rękoma, nikt nie pieści jej dobrze zakonserwowanych ramion, nikt nie wyściska na jej policzkach gorących pocałunków, nikt nie szepce jej przysiąg i zaklęć miłosnych, nikt nie burzy jej spokojnego trybu życia. Przez drzwi skrzypiące niemile nikt się nie wkrada z bijącym sercem do jej sypialni — po lśniącej, starannie wyfró-



Agencja Rek. „Podboj” Lwów ul. Zielona 34

terowanej posadźce nie łaskocą nigdy zuchwałe, młodzieńcze kroki, — z domowej spiżarni nikt nie wyjada starannie przygotowanych smakołyków i nikt nie pije złotego wina z omszałych butelek na chwałę miłości.

I jest to dziwne tembardziej, że stary niedołężny pan posiada przecież kochankę.

Kochanką tą zaś jest wielki, rodzinny gramofon, najnowszego powojennego systemu.

Stoi on na honorowym miejscu, jego potężna, lśniąca trąba rzuca się każdemu imponująco w oczy. Jest on tutaj sprzętem najważniejszym, on jeden ma obowiązki czynne i spełnia je wytrwale od wielu lat — cieszy, smuci, rozwesela, chroni przed nudą, używa zapomnienia, czasami nawet umarłe wskrzesza tęsknoty. Jest jedyną radością tych wszystkich szarych, powoli wlokących się popołudni i wieczorów. Goście, którzy przychodzą tu dwa razy na rok (na imieniny pana i imieniny pani) lubią gramofon, jako kłapę bezpieczeństwa przed nudną, jednostajną rozmową. Jeżeli pan jest nieznośny i stetryczały, pani mówi zwykle:

— Ach, zagrałbyś lepiej co na gramofonie!

Prośba ta zawsze odnosi skutek. Przez chwilę pan patrzy na panią o-

ślupiałemi, bezmyślnemi żrenicami, potem machinalnie skręca do gabinetu i nakłada nutę.

Kiedy gramofon gra, stary pan zachowuje się niby mistrz wielkiej ceremonii. Wyprostowany jak struna, staje z boku i dyryguje wskazującym palcem. Po każdym kawałku kłania się z dumą, jak kapelmistrz po najtrudniejszej symfonii. W wielu wypadkach udziela niezbędnych wyjaśnień. Jeśli muzyka cichnie, pan macha ręką i woła:

— Oddalają się, oddalają...

Ignorantom z pewnego rodzaju pogardą udziela krótkich a pouczających wskazówek co do rodzaju muzyki, autora lub wykonawców.

Najlepiej jednak stary pan lubi grać stare wojskowe, huczne marsze: pruskie lub austriackie. Od niedawna jeździ znowu do niemieckich badów, w których jest przecież dużo lepiej i taniej niż w Polsce. Przywozi stamtąd, tak jak i poprzednio bindy pruskie, wiersze pruskie, wyłowione gdzieś pocztówki z kronprinzem i feldmarszałkami. A przedewszystkiem notes pełen różnych frazesów jak:

„Aufschrift u. Briefmarke nicht vergessen.

Links gehen, nicht stehen bleiben.

Man bittet um grösste Reinlichkeit u. ordnen der Kleider in der Anstalt.“

Dlatego też stary pan lubi grać na gramofonie przedewszystkiem marsze pruskie, tudzież na całym świecie już zapomniane różne „Kaiserparaden“ i „Nachtlaterne“.

W zasadzie koncert odbywa się codziennie popołudniu. Po obiedzie pani pije sok z pomarańcz, zdejmując gorset i przebiera się w stary, wygodny szlafrok. Pan zaś pije ziółka, przebiera się w kamlotowy surdut i odmawia modlitwy. Późem pani zasiada w pokoju jadalnym do „Kurierka“, a pan wybiera płyty i nakręca gramofon.

Niebawem w spokojnym mieszkaniu huczą wrzaskliwe marsze, słychać słowa komendy pruskiej i miarowy tupot żołnierskich kroków. Co chwila pan wpada do jadalni jak bomba.

— Słyszysz Jadziu?... a to szelmy prusaki, a to psiakrew szelmy. — „Drang nach allen Richtungen“... szelmy — „Bismarckstrasse“... szelmy... ale co za marsze mają... prawda?

Pani kiwa odruchowo głową i mówi spokojnie:

— Dałbyś spokój... Jeszcze ludzie pomyślą, że tu jakieś szwabki mieszkają. Ciagle te marsze...

Ale pan upaja się dalej muzyką nieposkromionych rycerzy i mruczy z cicha:

„Gazeta Bankowa”

największe czasopismo ekonomiczne w kraju.

Wychodzi 10-go i 25-go każdego miesiąca. — Cena zeszytu :—: 300 Marek p. — Prenumerata kwartalna 1.800 Marek p. :—:

Dwa zeszyty poświęcone „Targom Wschodnim” w przygotowaniu. — Ogłoszenia przyjmuje jeszcze przez krótki czas Administracja „Gazety Bankowej” we Lwowie, ul. Zimorowicza 5. Telefon Nr. 581.

Telefon Nr. 581.

Po otrzymaniu 150 Mp. w gotówce lub znaczkach poczt., wysyła się egzemplarz okazowy.

— Jadzia nie lubi marszów, Jadzia nie lubi marszów...

Wreszcie pani woła z drugiego pokoju:

— Wiesz tatusiu! Pani Kajtusińska umarła.

Stary pan orientuje się wybornie w sytuacji i po chwili z gabinetu hu-czy marsz pogrzebowy Szopena.

Niebawem pani obwieszcza znowu:

— Młody Fikalski się żeni!

W odpowiedzi rozlegają się uro-czyste tony marszu weselnego z „Lo-hengrina”.

Wkońcu stary pan ukazuje się na progu jadalni i obwieszcza uroczystie:

— A teraz coś dla ciebie, — śli-czna, ulubiona, twoja nuta.

Pani odkłada na bok „Kurjerka”, wpija wzrok w okno, przez które widać lunę zachodzącego słońca i cze-ka. Pan szuka długo nuty, potem po-mału nakłada świeżą igłę i nakręca sprężynę.

Cicho dźwięczy przygrywka na for-tepianie, akord po akordzie. Pani wspiera głowę na dłoniach, jakby ją uchronić chciała przed silnym, namięt-nym głosem męskim, który niesie jej dziwne, niepokojące słowa:

„Mów do mnie jeszcze... ludzie
[nas nie słyszą...]

Słowa twe dziwnie poją i kołyszą!

Ręce zaciskają się kurczowo i opa-dają zwolna na stół. Wspomnienia uderzają zuchwale o biedną, słabą głowę. Obrazy szczęścia nieznanego nigdy i odepchniętego wzgardliwie

sącą kropla po kropli zły jad gory-czy. Wznosi ręce gwałtownie, jakgdy-by chciała potłuc wszystkie kosztowne sprzęty, przewrócić gramofon i uciec na ulicę, aby tam oddać się pierw-szemu lepszeemu przechodniowi, choć-by ten nie posiadał żadnego poważ-nego stanowiska. Aż wreszcie wzru-szenie upada, jak znużone, chorowite dziecko — i rozplywa się w łzach cichego smutku, łzach nieużytecznych, niezrozumiałych dla nikogo.

Z drugiego pokoju skrada się po cichu stary pan, żeby zbadać wraże-nie. Staje na progu pokoju i szkla-nym, tępym wzrokiem patrzy na cicho płynące łzy swojej wiernej, moralnej żony.

A gramofon wyrzuca dalej słowa piosenki:

„Mów do mnie jeszcze, — za
[taką rozmową
Tęskniłem lata... każde twoje
[słowo
Dziwne w mej duszy wywołuje
[dreszcze,
Mów do mnie jeszcze, mów do
[mnie jeszcze!...

Nie mówi jednak nikt już do pani w balzacowskim wieku. Drzazga.

Modne choroby.

— Panie doktorze, więc co jest mo-jej córce?

— Obawiam się, że to jest albo fox-trott w karku, albo one-step w krzyżu, a może shimmy w nogach!

— A może ma co w głowie?!

— Nie pani, badałem dokładnie, ale w głowie nic nie znalazłem!

SZCZERY.

— Wyobraź pan sobie: mój szef na-zwał mnie durniem! Coby pan zrobił w podobnym wypadku?

— No a pan co zrobił?

— Ja? Nic...

— I ja bym zrobił to samo!

W szkole.

— Czem się różni republika od mo-narchji?

— Tem, proszę pana psora, że re-publika dąży do monarchji, a monar-chja do republiki.

PO LIBACJI.

— Cóż twoja żona powiedziała na to, żeś wrócił tak późno do domu?

— Nic, całowała mnie jak zwykle.

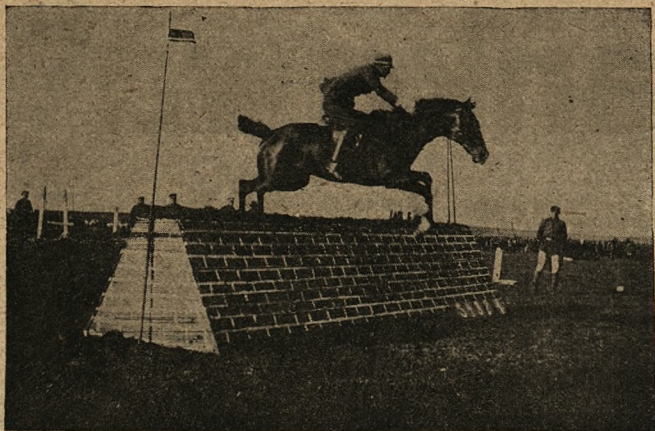
— Tym razem masz jednak z tego całowania siniec pod okiem. mg.

Przy wstępnym egzaminie do gimnazjum (autentyczne).

Nauczyciel: Odmieniaj słowo: „kto-kolwiekbaż”.

Uczeń: Ktokolwiekbaż, kogokolwie-ka bacia, komukolwiekowi baciowi..

Nauczyciel: Dość, za resztę dzie-kuje.



Bogaty dział korespondencji z większych miast Polski. Kronika i rozmaitości sportowe. — Dział szachowy.

Po otrzymaniu 150 Mk. w znaczkach pocztowych wysyłamy 4 okazowe numery „Sportu“

Z powodu podrożenia papieru i cennika drukarskiego, „SPORT“ od dnia 3. sierpnia 1922 r (nr. 21) kosztuje: numer pojedynczy 200 Mkp., prenumerata kwartalna 2.300 Mkp.

„SPORT“

TYGODNIK

Red. naczelny:

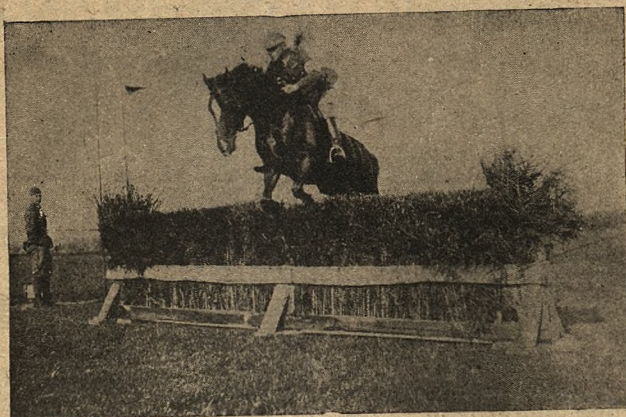
ILLUSTROWANY

Prof. R. WACEK.

Wydawca: SPÓŁKA AKCYJNA WYDAWNICZA

Adres Wydawnictwa: Lwów, ul. Zimorowicza 5.

Każdy numer zawiera szereg aktualnych wiadomości z dziedzin sportu i ozdobiony jest nader pięknymi zdjęciami.



Zamówienia

na wagonowe dostawy

Z B O Ź A

z nowej kampanji — przyjmuje

„Społem“

ZWIĄZKOWE TOWARZYSTWO HANDLOWE

Spółka z ogr. odpow.

Lwów — Trzeciego Maja 19.

Adres tel. „Społem“ Lwów.

TELEFON Nr. 548.

— Oferty na żądanie wysyła się. —

Nie ma powodu.

— Słuchaj Moryc, ja Szwanberga potrzebuję zaskarżyć do sądu!

— O co?

— On mi powiedział, co ja jestem złodziej, oszust i szwindlarz!

— I nic ci więcej nie powiedział?

— Nu, nie.

— To za co ty jego będziesz skarżył?! A. B.

Nad morzem.

— Patrz, tę pulchną blondynkę widzę już drugi raz w pięknyim kostjumie kąpielowym! co za niedbałość!

— To nie niedbałość, a — kokieterja! A. B.

Z dziejów łapownictwa.

— Cóż porabia pański kolega biurowy, pan Zdziś?

— Prowadzi obecnie żywot pszczołki.

— Co, czy taki pracowity?

— Nie, ale siedzi -- w ulu. A. B.

Z letnisk podmiejskich.

W pensjonacie „Bon ton“ pani Róży Hosenduft, wywieszono w jadalni następujące „przepisy dla gości“:

1. Uprasza się o nieplucie w doniczki, na posadzkę i na dywanu.

2. Nie wolno jest obcierać nos w obrus, serwetkę, lub firanki.

3. Brac potrawy z półmisek palcami zabrania się też.

4. Przy stole nie wolno prowadzić rozmów nieprzyzwoitych, ani telegrafować pod stołem z nogami.

5. Chcący kichać potrzebują wychodzić do przedpokoju.

6. Prosi się o nieszczypanie pokojówki.

Zarząd pensjonatu „Bon ton“. A. B.

Ach to przesilenie!



Policjant: Panowie! Czy to ładnie być tak urzęniętym?

Obywatele: Nie jesteśmy urzęnięci, tylko dostaliśmy kołowaczny, czytając to, co nasze dzienniki pisza od dwóch miesięcy o przesileniu.

Trzeba ożenić Gucia.

Kobiety nie mówiły nic złego o Guciu, zdaje się, że nawet źle nie myślały. Jednakże miałyby prawo uskarżać się, gdyby wogóle było prawo uskarżać się, że się nie jest dostatecznie kochaną. Ale one umiały go zawsze jakoś wytłumaczyć i przyjmowały bez urazy. Może dlatego, że same kochały go niezbyt i umiały zadowolnić się drobnym szczęściem chwili. Ale hipoteza ta nie wystarcza, gdyż niejedna szukała w Guciu wielkiego szczęścia i szukała go nawet potem, po przelotnej instalacji Gucia w jej myślach i przyjemnościach.

Uniewinniły go i zarazem uniewinniły siebie, mówiąc:

— On taki zwarjowany!

Wiadomo, jak bliską jest mądrość szaleństwu. Gucio więc mógł być uważany za mędrca. Miał on rysy regularne i spokojne, uśmiech dowcipny i czuły. Umiał głosowi swemu nadać odcień wzruszenia. Nie można było powiedzieć, czy się nudzi, czy bawi, gdyż nie przywiązywał żadnej wagi do tego, co czynił.

Alicja, którą kochał tydzień i którą odwiedzał od czasu do czasu, nie żądając od niej innej przyjemności jak pogawędkę przyjacielskiej i niewinnej, Alicja pytała go:

— Czy kochałeś mnie?

— Z całego serca — odpowiadał.

— A jeszcze jak?

— Całem mojem ciałem!

— Więc dlaczego?...

I tym dwom wyrazom nadawała ton drżący wzruszeniem, wlepiając w niego pytające spojrzenie.

Wszystko mu było przebaczone, gdyż był on bez zdrady. Nie obiecywał nigdy nic, zachowywał tajemnicę. Przechodził. Nie mówiono o jego kochankach, znano jego przyjaciółki. — Twierdzą zwykle, że przyjaźń między kobietą a mężczyzną jest rzeczą niemożliwą; otóż Gucio dowiódł, iż bywa przeciwnie.

Alicja powiedziała mu kiedyś:

— Nie możesz tak żyć dalej. Starzejesz się. Trzeba się ożenić. A Gucio skonstatował raz jeszcze, że Alicja, która pokłóciłaby się z nim śmiertelnie, gdyby wiedziała, że ją opuścił, by kochać inną kobietę, chce wyszukać mu żonę!

— Kobiety, rozmyślał, przebaczą, jeżeli się je przestaje kochać, pod warunkiem, by nie kochać innej. Ale i to chce, by kochać wogóle kobiety. Nie chce cierpieć w swej dumie indywidualnej, ani w dumie swej płci. Popycha to je do nielogiczności i uczuć skomplikowanych.

Ale głośno powiedział:

— Droga Alicjo, są w miłości dwa

sposoby postępowania. Pierwszy polega na długim studjowaniu się wzajemnym, na dzieleniu się uczuciami, na staraniu się szarmonizowania naszych pożądań, by dać im obopólne zaspokojenie po wielu zabiegach. W tym wypadku miłość jest syntezą. Tak się postępuje zwykle w miłości nielegalnej. Drugi sposób — to małżeństwo. Jedno oddaje się drugiemu bez zachodów i zabiegów. Później dopiero następuje period studjowania, postępowanie analityczne. I miłość w tym wypadku narażona jest na wielkie ryzyko. Bo dochodzi się do smutnych odkryć i ma się niemiły smak rzeczy nieodwołalnej, trudnej do strawienia.

*

Zofia, którą Gucio kochał w odstępkach nieregularnych, ale zawsze z jednaką lekkomyślnością i nowymi fantazjami, powiedziała mu również:

— Drogi Gusteczku, najwyższy czas, bym cię już wyswatała. Pozwól się ożenić.

— Zosieńko najmiłsza, nie bądźmy poważni. Myliłabyś się, nie uważając mnie wciąż za dziecko... Jestem wciąż zajęty rozmaitemi zabawkami: robieniem i wydawaniem pieniędzy, czytaniem dzienników, zaznajamianiem się z wypadkami światowymi i świeckimi, nadawaniem sobie póż i wyglądom osobistości. Więc też, gdy mam wolną chwilę czasu, lubię przyjść do domu do siebie, a nie do kobiety, choćby była ona moją żoną. To takie męczące żyć zawsze u drugich! Śmieję się! — Trzeba wszystko brać lekko...

— Ależ miłość, Gusteczku...

— Miłość również. Ale nietylko o tem jest mowa. Co właściwie chcesz, bym zrobił? Do czego mnie popychasz? Do idylli? Do kontraktu? Jedno i drugie. Więc kontrakt idylliczny? „Timeo Danaos et dona ferentes“ jak nas uczono w gimnazjum, co znaczy mniej więcej: „mam wstręt do dam, które mi robią prezenty“. Widzisz więc, najmiłsza, przez te twoje poważne zamiary wpadam w komunały i to w złym guście.

*

Gucio kochał Teresę podczas krótkiej wycieczki jesiennej, pośród przy-

rody cudownej i krajobrazów wspaniałych. Pozostało jej z tej podróży romantycznej wspomnienie cudowne, chociaż cośkolwiek melancholijne.

— Gustawie, rzekła, zdarza mi się często myśleć o tobie, żalując, że nie lepiej pojmujesz szczęście. Czyż nie zdaje ci się, że psujesz życie!! — Nie czujesz się bardzo osamotniony?...

— Istotnie, zgodził się Gucio, nie kładąc się dłużej prosić — to też przebacysz mi, jeżeli czasem myślę o małżeństwie. Jednakże są tylko dwie rzeczy, które każą prawdziwie kochać życie: pragnienie i wspomnienie. I to wspomnienie jest również tylko pragnieniem, pragnieniem, którego nie zgasiło nasycenie, a które pożąda samo siebie. Wiesz o tem najlepiej, ukochana, miłość nie jest również niczem innym jak pragnieniem i wspomnieniem. Nie będzie to zapewne owem szczęściem spokojnem, zadowolonym, bez burz, ale ja obawiam się stanu błogości. Musiałbym, żeniąc się, zabić w sobie tyle rzeczy rozkosznych i jeszcze nieznanych! Pamiętam cię, kiedy cię porwałem nad brzegiem tego jeziora różowego od zorzy, gdzie przeglądały się góry! Czyż chwila ta umarła? Żyje ona w twoich oczach, na twoich ustach, w twym sercu również, być może... Nie, nie, nie mów mi tego. Chcę móżdż zawsze sam ci to powtórzyć...

*

Aż wreszcie któregoś dnia zainteresowała go Lila. Lila była towarzyszką zabaw z lat dziecińczych Gucia. Małżeństwo nie wpłynęło bynajmniej na jej naiwność i beztroskę.

— Gutek! — zawołała, tyś powinien się ożenić!

— Poco i dlaczego? — zapytał flegmatycznie.

Gucio był szczęśliwy: kochał z całego serca i starał się usilnie, by nie zrobić najmniejszej przykrości. Czyż można żądać więcej?

Clo

W sądzie.

Sędzia: W jaki sposób podsądny mógł się dostać przez tak wąski otwór?

Złodziej: Przy pomocy znacznie rozszerzonych swobód obywatelskich, panie sędzio! JG.

Myśl.

Najdroższe krawaty noszą dziś ci, dla których wystarczyłby zwykły postronek... JG.

Także diagnoza.

— I co ci powiedział lekarz, droga Helu?

— Że mam żmurkowską głowę, ale że to nic złego... JG.



Kronika tygodniowa.

Przesilenie, turecka konstytucja i jeszcze jedna sporna kwestja.

Że jeden-drugi polityczny zbrodzień na przesileniu zarobić się stara, my miliard marek dopłacamy codzień i w przyszłość naszą szerzy się niewiara. Toć suwereni kraj nasz eo modo zarzną gruntownie i na hak przywiodą.

Takbym ja biadał, gdybym patrzył [czarno i narodowym gdybym był prorokiem, ale mnie myśli wesołe się garną i widzę wszystko optymisty okiem: Polska, jak dziecko, niechce powijaka, wierzga nóżkami i w pieluszki kaka.

To jest niemowląt zwykła polityka, wyprawiać wrzaski, fabrykować sosy, a że świat cały nos sobie zatyka, co nas obchodzą innych ludzi nosy? My sobie taki jesteśmy narodek co z przyjemnością wacha własny [smrodek.

Naród się cały rozdarł na dwie [części, lewica ostro z prawicą się ściera, walą po sobie, że aż w kościach [chrzęści, jeden drugiemu pilnie psa wybiera... Bo tak ci zawsze: z każdą sprawą [wzniosłą łączy się u nas hyclowskie rzemiosło.

Mniejsza, kto jesteś, mąż prawy [czy łobuz, czyś jest uczony, znachor lub konował, w tem rzecz jest, jaki wysła cię obóz i której partji będziesz aportował. Cerber by sobie na tej służbie użył, mając dwa pyski dwom panom by [służył.

Patryjotnicy, wielcy męże stanu aż ochrypnięli od wrzasku i krzyku, każdy do wielkich poczynań ma daną i każdy pragnie błyszczeć na [świeczniku...

Niechby błyszczeli ci ludzie mocarni nie na świeczniku, ale na... latarni.

Ja dzisiaj sam się monarchistą staję lecz z konstytucją Turcji albo Mułtan — niechby władali nad naszymi kraje groźny padyszach albo srogi sułtan, coby rozdzielał między nasze murze w uznaniu zasług po jedwabnym [sznurze.

Polsko! Jakkolwiek rodne są twe [niwy od brzegów Odry do wschodnich [rubieży i gdyby sułtan chciał być sprawiedliwy, chciał dać każdemu, co mu się należy, to czyż wyrośnie z twych ziemnych [uwiezi tyle konopi i tyle gałęzi?

St. Brandowski.

Rys. J. Doskowski

Na reducie futurystów.



— Wybacz uroczą maseczko, ale w podobnym kostjumie nie będziesz się nam mogła prawdopodobnie przed północą na sali udzielić!

Polska za granicą.

Z powodu przepełnienia w państwie piekielnem Belzebub, premier podziemi, wydał ustawę, zaprowadzającą numerus clausus i census inteligencji u tych, którzy mają być do piekła zabrani.

Odnosny § 4 tej ustawy brzmiał: „W szczególności przyjmować należy do piekieł te osobniki tyko, które bądźto zdradzają wysoką inteligencję, bądź też piastowały w świecie doczesnym wysokie stanowiska“.

Mimo tych obostrzeń Asmodeusz zaraportował niebawem Belzebubowi, że polskie kondygnacje piekła są już do niemożliwości przepełnione.

— Hm — mruknął Aryman — przecież ta Polska to wykwit kultury, to jest, że tak powiem, śmietanka naro-

dów... Więc sama inteligencja i dygnitarze?

— Inteligencja niekoniecznie, ale sami ministrowie i ambasadorowie! St. Br.

Dobrana para.

(Opowiadanie organisty).

Nie tu, ino hań gdzieś kole wschodniej granicy szedł borem dziańdzony, z przodu i z tyłu golizną świecił, bo nawet te łachy, jakie mu dali ludzie miłosierni, poopadały z niego i ani na zakrycie bezwstydu już mu nie starczyły.

A gdy tak idzie — spotyka dziańdówkę, akurat do siebie podobną, ino tyle, że jeszcze jakąś starą opaskę na łądzwiach miała i jakąś kokardę we włosach. Ale zresztą nic na niej nie było. Chuda, schorowana, patrzyła na suchotnicę, co to dziś-jutro na tamten świat się wykopyrtnie.

Mimo to dziań dalejże do baby w zaloty. Gził się z nią, nadskakiwał, komplementa prawil, pōty wzdychał i oczami zawracał, aż się baba zgodziła, aby wyjść za niego i być jego żoną. Przyszli więc do mnie do zakrystji i dali na zapowiedzi, a ładne i szlacheckie mieli nazwiska. On się nazywał Rubelion Sowiecki, a ona Marka Polska... St. Br.

Polscy repartjanci.

Z raportu dyżurnego fclczera w Baranowiczach.

- Przybył świeży transport z Rosji.
- Ile osób?
- Dziewięć set trzydzieści cztery.
- Czy sami polacy?
- Nie, partja mieszana.
- Mianowicie?
- Dziewięćuset żydów, trzydziestu rosjan i czterej polacy.
- Jaki stan zdrowotny przybyłych?
- Żydy — zdrowe, moskale — pijani, a polacy nieboszczyki. Boguś.

Bacność przemysłowcy i wytwórcy polscy!

30.000 nakładu.



30.000 nakładu.

6. września wyjdzie specjalny numer „Szczutka“ poświęcony w całości

Jesiennym Targom Wschodnim we Lwowie.

Bogaty dział reklamy artystycznej da firmom polskim rzadką sposobność propagandy ich wytwórczości.

30.000 nakładu.

30.000 nakładu.

Rubel i Korona.



Rzekł rubel do korony: upadasz tak szparko
Że wkrótce za dwa ruble kupię cię nędzarko.